

I

Miał się właśnie ku początkowi nieznośnie upalny i wilgotny lipiec 147050245 roku przed naszą erą. A może był to sierpień 147000041? Kilkadziesiąt tysięcy lat, co to w końcu za różnica? Tak czy owak, pewnego słonecznego popołudnia bajecznie kolorowy i bogato upierzony prąptak szybował na niskich wysokościach, wypatrując pilnie jakiejś smacznej ważki. Szczerze powiedziawszy, większa mucha też by się nadała – w pustym brzuchu burczało mu na tyle donośnie, że nie wzgardziłby żadnym, w miarę treściwym pokarmem.

*

Docent Kwaszczuk uśmiechał się niezwykle oszczędnie, jak ekspedient ze sklepu motoryzacyjnego, przechowujący pod ladą chodliwe uszczelki do małego fiata. Rozparty w swym przepastnym, pluszowym fotelu wpatrywał się w bulwiasty hełm Wieży Matematycznej, górującej nad potężną bryłą barokowego gmachu uniwersytetu. Zdawał się być myślami gdzieś bardzo daleko. Można było przyjąć z dużym prawdopodobieństwem, że nie analizuje właśnie stopnia zaawansowania prac naukowo-badawczych w semestrze letnim. „To i dobrze” – pomyślałem. Tematyka ta nie stanowiłaby zbyt miłego przedmiotu konwersacji, moje dokonania w tej materii nie były ostatnio zbyt imponujące.

– Panie Andrzeju, pewnie to pana zasmuci, ale wyjazd do Karlsruhe nie dojdzie do skutku – powiedział tonem wskazującym na dużą powagę sytuacji.

– Jak to?! Wszystko załatwione, odebrałem już paszport!

– Niestety, może pan w to nie uwierzy, ale okazał się pan niechcący człowiekiem niezastąpionym. Potrzebują pana w lipcu tutaj, na miejscu. Doktor Rogalska poważnie zachorowała, wzięli ją wczoraj do szpitala, ktoś musi przejąć praktykę pod Kamienną Górą.

– Ojj, jeejjj! – zajęczałem przeciągle, jakbym poczuł przejmujący, kłujący ból, typowy dla przewlekłych stanów zapalnych okostnej. – O ile wiem, nie mam nic wspólnego z zajęciami z geologii dynamicznej? Niech profesor Horyc pośle tam jakiegoś innego asystenta, ma ich co niemiara.

– W tym sęk, wcześniej przydzielono im inne zajęcia, a poza tym istnieje jeszcze ważniejszy powód – nikły uśmiech mojego szefa nabrał

teraz odcienia tajemniczości. – Wezwano mnie w tej sprawie do samego rektora. Oprócz naszych studentów mają być tam również goście z Niemiec Zachodnich. Wymagają specjalnej opieki, a pan jest jedynym wolnym pracownikiem w całym instytucie, który zna język i powiedzmy, „obyczaje”. W końcu, był pan tam trzy razy.

– Byłem, ale co z tego? Inni są lepiej przygotowani. Przecież z nimi można się porozumiewać również po angielsku. Idziak i Szczepański jeździli na stypendia do Szwecji, a nawet do Kanady. Znają się do tego, w przeciwieństwie do mnie, na geologii Sudetów. Stratygrafia Gór Kamiennych jest dla mnie dokładnie tak samo abstrakcyjna, jak Gór Wododziałowych czy Andów Peruwiańskich!

Docent pogładził się po starannie zaczesanych siwych włosach i spojrzał na mnie z lekkim politowaniem. Był wystarczająco zahartowany w akademickich dyskusjach, by tego rodzaju argumenty zbić jedną celną ripostą.

– No właśnie! Nie zaszkodzi panu, jeśli wróci pan do źródeł i zajmie się przynajmniej krótko prawdziwą geologią, a nie zagadnieniami związanymi z podatnością górotworu na urabianie koparką czerpakową. Między nami mówiąc, ostatnie opracowania dla kopalni raczej słabo nadają się do tego, by uznać je za prace naukowe.

Zostałem trafiony w czułe miejsce. Pojąłem natychmiast, iż pogłębianie tej śliskiej tematyki nie leży w moim interesie. Szef nie pozostawił mi żadnego pola manewru. Dalsze utarczki słowne były bezcelowe, pozostało tylko ratowanie tego, co się da.

– Ta praktyka ma trwać tydzień? – zadałem retoryczne pytanie. – To znaczy, że w drugiej połowie lipca będę mógł jeszcze pojechać do Niemiec?

– Jeśli profesorowi Rohdenowi to nie przeszkadza – stwierdził tonem łaskawcy.

Na pewno mu nie przeszkadza – przecież wykorzystuje bezwstydnie nasze obliczenia w swoich pracach dla koncernu. W zasadzie jest mu obojętne, czy przyjadę na tydzień, czy na miesiąc, bylebym miał z sobą odpowiednie materiały. Nie mogłem tego natomiast powiedzieć o sobie. Nie otrzymam za ten okres diet, które stanowią główną atrakcję pobytu w strefie dewizowej. Napięty budżet młodego pracownika naukowego odczuje tę stratę bardzo boleśnie, nawet jeśli ma on dodatkowe dochody z innych źródeł niż asystenckie uposażenie. Pożegnałem się

w tym momencie bezpowrotnie z marzeniem o kupnie kolorowego telewizora produkcji innej niż radziecka.

Od odjazdu z wrocławskiego dworca minęła już ponad godzina i pociąg opuścił płaską jak stół Nizinę Śląską. Za oknem przesuwały się z wolna kolejne kopułowate szczyty Gór Wałbrzyskich. Przy pewnej dozie wyobraźni można było się w nich dopatrzeć nieco zaokrąglonych stożków. I słusznie, są one bowiem pozostałościami po wygasłych wulkanach. Fragmenty widoczne dzisiaj stanowiły niejako ich kręgosłupy. Znajdowały się pierwotnie na głębokości najmniej kilkuset metrów, zaś budujące pierwotny stożek miękkie osady – popioły i tufy – zostały zerodowane.

Co by było, gdyby wulkany te wznowiły swoją działalność i doszłoby do ponownych erupcji? Oj, nie byłoby zbyt wesoło! Nieszczęsny Wałbrzych podzieliłby los starożytnej Pompei. Ale bez paniki, nic nie wskazuje na groźbę takiej katastrofy, przynajmniej w ciągu najbliższych kilkudziesięciu tysięcy lat.

Ziewnąłem przeciągle i zwinąłem „Gazetę Robotniczą”. Przeszudiwałem wszystkie jej osiem stron od deski do deski, pomimo to nie odczuwałem przesytu informacją. Nie należałem do wąskiego grona czytelników śledzących uważnie prace egzekutywy KW PZPR i podziwiających ofiarną pracę mieszkańców Psiego Pola, którzy na XXXV-lecie PRL podjęli liczne czyny produkcyjne. Mnie interesowały nieliczne wieści z zagranicy, choćby krótka notatka pod tytułem: „Franz Josef Strauss kandydatem CDU/CSU na kanclerza RFN”.

Ten opasły bawarski piwosz może zostać kanclerzem?! Byłoby to dla naszego kraju wielce niekorzystne. Prasa o tym nie pisze, ale w kołach dobrze poinformowanych wiadomo, że obecny kanclerz jest nam bardzo przychylny i ma świetne stosunki osobiste z pierwszym sekretarzem. Otrzymujemy dzięki temu korzystne kredyty, a jedynym ustępstwem z naszej strony jest zezwolenie na wyjazd kilkuset tysięcy wysiedleńców – w ramach akcji łączenia rodzin. Co najgorsze, gdyby ultrakonserwatywny Strauss wygrał wybory, podniosłoby jeszcze wyżej głowę wszelakie ziomkostwa i inne odwetowe organizacje dążące do rewizji obecnych granic. Miejmy zatem nadzieję, że noga mu się powinie i nie uzyska odpowiedniej ilości głosów.

Wyjechaliśmy za Wałbrzych. Ślimacza prędkość i miarowe kołysanie na nierównym torowisku wprowadziły mnie w stan półletargu. Zaczynałem na dobre przysypiać. Nie trwało to długo, przypomniało mi się, że za niecały kwadrans zostanie poddany ciężkiej próbie, jaką jest dla każdego podróżnego przesiadka na autobus PKS. Widmo korzystania ze zbiorowej komunikacji samochodowej było przerażające. W Sędziszawiu czekała mnie zażarta i bezpardonowa walka, prowadzona w stylu przypominającym skrzyżowanie hokeja na lodzie z wolną amerykanką. Tylko energiczne popychanie, sprytnie klinczowanie i efektowne „bodiczowanie”, umożliwiło zdobycie upragnionego miejsca w przepełnionym, przypominającym gigantyczną beczkę jelczu. Musiałem się poważnie liczyć z koniecznością stosowania tych podstawowych elementów „gry bez krążka”. Jeśli nie uda mi się dojechać pierwszym planowym kursem do Kamiennej Góry, przepadnie ostatnie z trzech połączeń do P. Oznaczałoby to parokilometrowy marsz z pełnym obciążeniem, w tym rejonie trudno liczyć na podwiezienie autostopem.

Ocknąłem się z zamyślenia – drżałem na całym ciele. Dygotanie nie było wynikiem lekkiego trzęsienia ziemi lub tąpnięcia w którejś z wałbrzyskich kopalń. To ociążałe trójczłony pociągu przetoczyły się z łoskotem i zgrzytem po nierównych rozjazdach stacji. Sprawdziłem skrzętnie, czy mam dobrze pozapinane wszystkie guziki i zamki błyskawiczne – rozpięta koszula lub kurtka może zostać łatwo rozszarpana. Zbliżałem się nieuchronnie do pola bitwy „Pod przystankiem autobusowym”.

Niewygodny stelaż wbijał mi się boleśnie w okolice nerek, cienkie paski toreb wpijały w zdętwiałe ręce. Zasłużyłem sobie na taką karę brakiem niezbędnej bojowości – nie potrafiłem traktować kobiet i dzieci, a był to jedyny sposób osiągnięcia zbawczego wnętrza pojazdu.

Na dworzec w Kamiennej Górze dostałem się dopiero następnym kursem, o godzinę za późno na planową przesiadkę. Miałem jednak szanse dotarcia do celu przed zapadnięciem zmroku. Całe szczęście, nie znałem bowiem zupełnie okolicy. Nic w tym dziwnego. Kotlina Kamiennogórska, leżąca na pograniczu Sudetów Zachodnich i Środkowych, nie przyciąga zbytnio ani turystów, ani geologów. Gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ta porośnięta gęstymi lasami, po-

fałdowana okolica znalazła się w centralnej Polsce, mogłaby stanowić atrakcję większą od Gór Świętokrzyskich. Tutaj, w środku Sudetów, otoczona wyższymi pasmami, mogła być ciekawa co najwyżej ze względu na dogodne połączenie komunikacyjne – od wieków wiódł tędy ważny szlak z północy na południe, w kierunku Pragi.

Nie miałem zamiaru pokonywać dwustu kilometrów dzielących mnie od stolicy Czechosłowacji. Maszerowałem na zachód, w kierunku Kowar, co wiązało się z wyjściem z doliny Bobru na pierwsze grzędy pagórków Gór Lisich. Droga według opisu, który dostałem od doktor Rogalskiej, była dosyć prosta – najpierw po szosie w kierunku przełęczy, a po paru kilometrach w prawo, w dół do doliny potoku. Znalezienie szkoły, w której załatwiła zakwaterowanie, nie powinno być trudne.

Oddalałem się powoli od szarych i obdrapanych budynków miasta. Otoczyła mnie wybujała zieleń pogranicznych łąk, kiedy usłyszałem z tyłu miarowe buczenie silnika. A jednak, coś tu w sobotę wieczorem jeździ! Ucieszyłem się, natężenie ruchu kołowego było bowiem zbliżone do zera. Przez ostatnie pół godziny minął mnie tylko jeden pyrkoczący maluch, wypełniony przez pół tuzina osób i serty skotłowanego bagażu. Liczyłem jeszcze na jakiś zabłąkany samochód dostawczy czy ciężarówkę. Zawodowi kierowcy zabierają chętnie „na łebka”, pozwala im to na podreperowanie pustej kasy.

Obróciłem się. Może ujrzę wyłaniającą się zza pagórka pokraczną sylwetkę żuka lub nyski?

– Nic z tego – mruknąłem rozczarowany. Spomiędzy przydrożnych drzew prześwitywał fragment śnieżnobiałej karoserii. Straciłem nadzieję, było oczywiste, że nikt nie poleruje tak intensywnie społecznej własności. Skoncentrowałem się na omijaniu kałuż wypełniających zagłębienia pofałdowanego asfaltu.

Hałas wzmógł się jeszcze bardziej i zszedłem na pobocze, by przepuścić zbliżający się pojazd. Wolałem uniknąć wątpliwej przyjemności, jaką jest oblanie fontanną mętnej deszczówki. Nie zostałem jednak wyprzedzony. Usłyszałem cichy pisk hamulców. Owiął mnie podmuch cieplejszego powietrza i duszący swąd spalin.

Samochód zrównał się ze mną. Od strony pasażera zaczęła opadać majestatycznie elektrycznie sterowana szyba. Określenie „majestatycznie” było w pełni adekwatne. Zorientowałem się, iż nie mam do czynienia z maluchem lub dużym fiatem, lecz z iście królewską marką – Land

Roverem, legendarnym pogromcą pustynnych bezdroży. O posiadaniu lub użytkowaniu takiego automobilowego cacka geolog z Europy Środkowo-Wschodniej nie może nawet pomarzyć – musi się pogodzić z tym, że za główny środek lokomocji w terenie służą mu własne nogi.

Z tyłu, za autem, ciągnięte było jeszcze jedno чудо techniki – przyczepa kempingowa o rozmiarach domku jednorodzinnego. Zapewne mieściła w sobie wyposażenie, na którego skompletowanie nie starczyłoby rocznych dochodów kilkudziesięciu robotników zatrudnianych w uspołecznionych zakładach pracy.

Do samochodu nie pasowała głowa wychylająca się z jego wnętrza. Pociągła, blada twarz młodego blondyna mogła się kojarzyć z garden party, ale na pewno nie z safari.

– Hallooo! – zawołał przeciągle w języku, który uznał za jedynie zrozumiały dla tubylców.

– Ppprzemmeszczsziczcowyce!!!? – wyseplenił z podkreśleniem akcentu na ostatnią sylabę i wskazał chudą ręką kierunek jazdy.

– Może pan spokojnie mówić po niemiecku – odpowiedziałem. Zorientowałem się, po tablicy rejestracyjnej, z kim rozmawiam.

– Ooo! – wykrzyknął z ulgą. Heroiczna próba prawidłowego wymówienia nazwy wsi kosztowała go wiele wysiłku.

– Chcę się tam również dostać i chętnie wskażę drogę, jeśli mnie państwo podwieziecie.

Forma grzecznościowa „państwo” była odpowiednia. Za kierownicą samochodu siedziała sztywno, z twarzą ukrytą pod wielkimi okularami słonecznymi, czarnowłosa kobieta o wydatnych kościach policzkowych.

– Aiko, nie masz chyba nic przeciwko temu? – blondyn zwrócił się do swojej towarzyszki i nie czekając na aprobatę, uchylił tylne drzwiczki.

Sterylnie wnętrze nie miało nic wspólnego z siermiężnymi radzieckimi gazikami, którymi czasami zdarzało mi się jeździć. Miałem obiektywy, czy rzucić stary, wyświechtany plecak na jasnoszarą tapicerkę. Jednak ani kierowca, ani pasażerka nie mieli zamiaru otwierać bagażnika. Nie pozostało mi w związku z tym nic innego, jak zbecześcić wymuskaną powierzchnię siedzeń przeznaczonych zapewne – w zamyśle producenta – do znacznie wyższych celów.

Upchnąłem moje nieforemne tobołki za fotelem kierowcy. Sam usadowiłem się na mięciutkiej tylnej kanapie. Byłem w siódmym niebie, wielogodzinna męka wycieńczającej podróży dobiegła definitywnie końca.

– Zbiera pan grzyby i runo leśne? A może zioła? – młodzieniec raczył nawiązać konwersację. Kątem oka spoglądał na wypchane torby z wyblakłego płótna.

No tak! Mój wygląd niekoniecznie musiał wzbudzać zaufanie przybysza zza żelaznej kurtyny. Znałem tamtejsze standardy i nie mogłem wziąć mu za złe, że kojarzył moją osobę raczej z kloszardem niż z poważnym badaczem. Ale co mogę na to poradzić? Trudno, bym – wzorem moich kolegów z Zachodu – miał wszystko jak nowe i niezuzyte, jeśli nie starcza mi z pensji na porządne traktory.

– Nie, panie Hoppe! Mam w środku sprzęt do badań terenowych i zapasy – wprost zdębiał, gdy wymawiałem jego nazwisko.

– Skąd pan mnie zna? Czy jest pan z policji ludowej? – wyjęczał załośnie, tak jakby mu groziły za chwilę wymyślne tortury.

– U nas, w przeciwieństwie do NRD, nie ma policji. Jest milicja i do tego nie ludowa, a obywatelska! – poprawiłem go. – Obcokrajowcami zajmuje się służba bezpieczeństwa, ale ja nie jestem u nich na etacie.

„A może i szkoda? Mógłbym się pewnie lepiej ubrać” – pomyślałem w skrytości ducha.

Niemiec wyglądał teraz na nieco uspokojonego, jednak patrzył na mnie nadal wyczekująco. Nie uznawał za normalne, iż jest znany z nazwiska każdemu przypadkowo napotkanemu wędrowcowi. Mógłbym – dla zabawy – udawać jasnowidza, który potrafi czytać w myślach i z tego prostego względu wie od razu, jak kto się nazywa. Nie zależało mi na roztaczaniu wokół siebie nimbu paranormalności i wyjawilem swoją prawdziwą rolę.

– Jestem pracownikiem uniwersytetu. Nazywam się Wiśnicz i mam prowadzić praktykę, w której jeśli się nie mylę, i pan zapragnął wziąć udział. Nazwiska tej miłej pani nie znam, nie zostało mi podane w dziekanacie. Wiem tylko, że ma być pan z osobą towarzyszącą.

– Aiko Nakamura – wypowiedziała dźwięcznym głosem i podała mi swoją szczupłą dłoń. – Niech się pan nie dziwi Ralfowi. Ma powody, by się bać policji. Na granicy wschodnioniemieccy celnicy kontrolowali

nas najmniej dwadzieścia minut! Odkręcali tylne siedzenia i sondowali drutem zbiornik z paliwem. Badali też dokładnie nasze dokumenty, aczkolwiek jechaliśmy tylko tranzytem. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do takiej drobiazgowości.

– Dwadzieścia minut!? Widocznie nie widzieli jeszcze nigdy japońskiego paszportu, a pani takowy posiada?

– Zgadł pan – skinęła głową.

Nie wiedziałem, czy się śmiać, czy płakać. Znałem przypadki przetrzymywania bez żadnego powodu, i to po kilka godzin.

– Proszę się nie martwić! – pocieszałem na zapas. – Państwa pobyt w Polsce będzie przebiegał bez żadnych tego rodzaju incydentów. Wszystkie konieczne zezwolenia są już dawno załatwione.

Obejrzałem się do tyłu, na przyczepę.

– Nie będą państwo korzystać z zarezerwowanego lokalu? To dobre, standard wynajętych pomieszczeń nie jest, zdaje się, najwyższy.

Z miny zrobionej przez Ralfa wywnioskowałem, że są podobnego zdania i zabrali swój „dom na kołach” nieprzypadkowo.

– Chyba będziemy mogli się ustawić w pobliżu jakiegoś budynku? Potrzebne jest nam źródło prądu i wody.

– Nie sądzę, by były z tym trudności.

Nie rozkoszowałem się zbyt długo brytyjskim luksusem land rovera. Przejechaliśmy parę kilometrów i skręciliśmy w prawo, do wsi. Nie wyróżniała się ona niczym specjalnym. Podobnie jak w innych sudectkich osadach większość zaniedbanych budynków nadawała się do remontu generalnego lub rozbiórki.

W centrum znajdowały się resztki pałacu oraz dwa kościoły – katolicki i protestancki. Ten ostatni w ruinie. Szkołę znaleźliśmy kawałek dalej, po prawej stronie potoku meandrującego wąskimi zakolami środkiem ciasnej doliny. Był to zwalisty, rozgałęziony budynek z czerwonej cegły, z pewnością zbyt duży w stosunku do obecnych potrzeb wsi. Pomimo to był dobrze utrzymany, świadczyły o tym nowo położone dachówki i świeżo pomalowane okna. Metalowa brama była szeroko otwarta. Wjechaliśmy na rozległe podwórko, oświetlone malinowym poblaskiem wieczornego słońca.

– Możecie mi powiedzieć, gdzie znajdę pana dyrektora? – spytałem dwie kilkuletnie dziewczynki biegające po drugiej stronie płotu.

– Z tyłu!!! – wrzasnęły jednym głosem i pognały dalej.